

49 w 2025 (585)

Metoda wodna

Data publikacji: 16.07.2025 / Autor: Tomasz Maracewicz

Fred Trumper udaje się do urologa, żeby rozwiązać, trapiący go od czasów, kiedy był jeszcze w wieku harcerskim problem z moczowodem. Doktor proponuje mu trzy opcje do wyboru, ale dwie z nich – abstynencję alkoholową i zabieg chirurgiczny – odrzuca od razu, więc pozostaje mu nowatorska „metoda wodna”, na którą ostatecznie się decyduje...

Od tego wątku rozpoczyna się jedna z powieści Johna Irvinga. Czy może być ona jednak metaforą rozważań o wodniactwie w harcerstwie? Uspokoję was – raczej nie.

To przecież nie moja wina, że właśnie ta powieść przyszła mi na myśl, gdy natrafiłem w „Azymucie” na skądinąd [bardzo ciekawe rozważania hm. Macieja Starego](#) dotyczące metody, metodyki i programu wodniackiego. Freud miałby tu zapewne coś do powiedzenia. Szczególnie, że w przywołanej powieści aż roi się od mnóstwa różnych „śliskich” tematów.

Zresztą zagadnienie rozróżnień w stosowaniu pojęć „metoda”, a „metodyka” w harcerstwie jest również „śliskim” tematem. Weźmy chociażby za przykład metodykę zachowawczą w relacji z fundamentalnymi zasadami metody harcerskiej. Ale to temat na inną rozmowę.

Wodniactwo u źródeł skautingu

Zamiast tego spróbuję przyjść Maciejowi w sukurs i pogłębić nieco jego rozważania na temat istoty wodniactwa. Zaczniemy zatem od tego, że u zarania skautingu nie pomyślano o wielu rzeczach. Na przykład nie pomyślano o specjalnościach. Rzeczywiście. Podstawowe dzieła na których wyrósł skauting, autorstwa Roberta Baden Powella: „Skauting dla chłopców” i „Wskazówki dla skautmistrzów” nie mówią nic o drużynach specjalnościowych – z jednym wszakże wyjątkiem: skauting wodny. To jemu Naczelny Skaut Świata poświęcił jedną ze swoich gawęd, zatytułowaną zresztą po prostu – „Skauci wodni”, a już w 1912 (zaledwie w 4 lata po „Scouting for Boys”) pojawia się wspomniany przez Macieja „Skauting morski i wiedza żeglarska dla chłopców” autorstwa brata Bi-Pi, Waringtona.

Co jest takiego fascynującego w wodniactwie, że na tle innych zajęć w polu, właśnie ten rodzaj aktywności Baden Powell wyróżnił? Nie jako coś lepszego, broń Boże, ale na pewno jako coś innego. Można domyślać się, iż idzie tu o charakter i specyfikę

programu wodnego, które w sposób szczególny oddziałują na młodego chłopca (dziewczynę). Tu, być może bardziej niż w innych specjalnościach, wyrabia się **dzielność i zdolność do poświęceń, poczucie współodpowiedzialności za zespół, a także karność rozumianą jako konieczność podporządkowania się regułom i regulaminom**. Oczywiście, wiele innych współczesnych aktywności: wspinaczka, lotnictwo, sporty motorowe – to aktywności wymagające kładzenia dużego nacisku na kwestie bezpieczeństwa. Nie mniej to jednak w żeglarstwie i to szczególnie w żeglarstwie morskim, owo uprawianie tej „niebezpiecznej” aktywności jest tak totalne. Tu, nie tylko podczas „zajęć programowych”, ale przez okrągłą dobę rygor służby wymaga dbałości w wykonywaniu obowiązków, podporządkowaniu się zasadom i poczucia, że od zaniedbania dobrej praktyki morskiej, drobnego błędu czy wreszcie braku wyobraźni – zależy może zdrowie i życie własne i kolegów. Okoliczności te wymagają zresztą nie tylko indywidualnej dbałości, ale również zgrania zespołu.

Skauting wodny to również większa intensywność niż w zwykłej harcerskiej służbie: pasowania się z samym sobą, **przełamywania słabości**, uodparniania na trudy i niewygody. A zarazem – ciągła przygoda, przeżywana zarówno na wachcie, jak i podczas snu.

Tu również pojawiają się dość znaczące zagadnienia metodyczne. Bo z jednej strony wodniak czy żeglarz kojarzy się szczerom lądowym z kompletnym brakiem **dyscypliny**: nie umie toto stanąć na bacność jak trzeba, nie potrafi zająć miejsca w szyku na porannym apelu i zamiast radośnie maszerować z zastępem na manewry do lasu, woli wczołgać się do cuchnącej dziury, żeby po raz setny naprawiać zdezelowaną pompę wodną od starego diesla. I do tego w każdej wolnej chwili możesz znaleźć skauta wodnego schowanego w zaciszu za tratwą ratunkową podczas słodkiej drzemki. A z drugiej strony wodniak ten, gdy statek jest w morzu, jak trybik w doskonałej maszynie, znajduje swoje miejsce w systemie wacht oraz w regulaminie pokładowym. Ten sam niesubordynowany wodniak bez wahania wykonuje każdy, najdrobniejszy nawet rozkaz kapitana, odkrzykując dziarsko np.: „Jest, prawy foka szot luz!”.



Rejs podług słońca i gwiazd, 2012 r.

Wchodząc w szczegóły trzeba powiedzieć, że zasadniczo wodniactwo jest prostsze metodycznie i programowo od „zwykłego” harcerstwa. Przede wszystkim wszelkie uczenie się i praca wynikają z naturalnych potrzeb, a nie wymogów prób, bo sprzęt wymaga przecież przygotowania do sezonu albo nawet – zbudowania (tak, tak, wodniacy budują dla siebie canoe lub żaglówki!). Mimo, że tej pracy jest dużo, a wiedzy i umiejętności jeszcze więcej, to trzeba powiedzieć, iż bardzo łatwo w młodych chłopcach (czy dziewczynach) generuje się wewnętrzną potrzebę, żeby je zdobywać. Bo każdy chce być świetnym żeglarzem! Zatem jedna z zasad metody harcerskiej – **oddziaływanie od wewnątrz** – w wodniactwie realizuje się wyjątkowo łatwo.

Podobnie jest z postulatem bliskości i rozumienia **przyrody**, które u wodniaków są oczywistością. Żywioły, w których wodniak jest „zanurzony”, ich oddziaływanie, w sposób niewątpliwy są stałą częścią programu pracy i życie w zgodzie z ich prawami staje się koniecznością, a nie czymś co ledwie moglibyśmy próbować zaszczepić.

Z pedagogicznego punktu widzenia duże znaczenie w programie wodniackim ma czynnik postrzeganego **ryzyka**. Jest on wciąż obecny – czy to na canoe podczas pokonywania bystrza, czy to na dezecie żeglującej po Zalewie Wiślanym. Mimo, że instruktorzy robią wszystko, by ów czynnik był wyeliminowany czy też zminimalizowany, to jednak wciąż istnieje jako postrzegany i tym sposobem wpływa bezpośrednio na rozwój odpowiedzialności osobistej i wspólnej. A także, podobnie jak bliskość żywiołów – wyzwala tzw. doznania szczytowe, które wg Masłowa głęboko kształtują psychikę i utrwalają pamięć przeżywanych zdarzeń.

Przechodząc do kwestii czysto związanych z programem warto podkreślić jego wbrew pozorom dużą **różnorodność**. Wodniactwo obejmuje przecież nie tylko żeglarstwo śródlądowe czy morskie, ale także wodne włóczęgi na canoe, kajakach czy też samodzielnie wykonywanych tratwach – to wszystko zależy od możliwości drużyny i położenia najbliższego akwenu wodnego. Oprócz wyżej wymienionych na

program wodny składają się też zabawy na SUP-ach czy też windsurfingu i pochodnych (choć to rzadziej), a także nurkowanie albo wodne modelarstwo.



Sjesta na jeziorze, 2015 r.

Program wodniacki w zasadniczy sposób odbija się na działalności śródrocznej: wypełnia ją **praca przy sprzęcie i przygotowanie do sezonu** – zarówno techniczne, jak i wiedzowe. Co tu dużo mówić, gdy przyszedłem jako dwunastolatek do drużyny wodnej, to już na pierwszej zbiórce dostałem od bosmana wielkie szalupowe wiosło i wiaderko szkła: „masz, to będzie twoje wiosło, musisz je porządnie oskrobać, aby nie było żadnych obtarć i szarych nalotów. Tylko uważaj i się tym szkłem nie pokalecz. Jakby co, nakleimy plaster. Powinieneś do końca zbiórki skończyć. I pamiętaj, twoje wiosło świadczy o tobie”.

Jesteście pewno ciekawi co było potem. Już odpowiadam: szlifowanie glanspapierem. A potem? Pokostowanie. A po pokostowaniu? Lakierowanie. Trzykrotnie. I równocześnie różne gry mające pomóc nauczyć nas węzłów, nazw części naszej szalupy i jej ożaglowania, i jeszcze mnóstwa różnych potrzebnych umiejętności. Bo przecież latem czekała nas wyprawa, a na „Waleniu” nie było miejsca dla „pasażerów”. I jeszcze chodziliśmy na wycieczki do portu, żeby obejrzieć znaki nawigacyjne, oświetlenie wychodzących w morze statków, charakterystykę świecenia latarni morskich ... itd. itd.



Pierwszy nocleg, 1975 r.

Można śmiało powiedzieć, że w drużynie wodnej nie pojawia się pytanie o to co robić na zbiórkach, a raczej – kiedy znaleźć na to wszystko czas. A latem? Latem są obozy mające najczęściej formę wędrówki. Na takich obozach właściwie nie ma „zajęć programowych”, tutaj zwykły rytm dnia (i nocy) staje się takimi zajęciami. Można powiedzieć, że jest to w czystej postaci realizacja **zasady naturalności**. Nic nie jest sztucznie wymyślone. Dzieje się, bo musi się dziać, o ile chcemy dotrzeć bezpiecznie do Wysp Szczęśliwych.

W świetle opisanych kwestii nie powinna zatem dziwić wyraźnie zarysowana **odrębność** ruchu wodnego, wyrażająca się, chociażby w dość bogatej metodyce, swoistej symbolice i mundurach. Ba, w niektórych organizacjach skautowych seascouting jest na tyle odrębny, że wydziela się go jako osobną organizację. Charakteryzuje się też większym zhierarchizowaniem. Widać to nawet po oznakach zewnętrznych: inaczej jak w skautingu „zielonym” instruktorzy noszą mundury wzorowane na mundurach oficerskich, zupełnie innych niż mundury zwykłych marynarzy. Bo na statku, choćby ze względów bezpieczeństwa, musi być widać kto rządzi.

Wreszcie warto zauważyć, że program wodniacki służy powstawaniu **wielkich**

drużyn skupionych wokół przystani i floty, obrosłych w liczną kadrę instruktorską dbającą o poziom techniczny i merytoryczny.

Z nurtem tradycji

Trzeba podkreślić, że harcerstwo polskie ma w skautingu wodnym swoje wspaniałe dokonania. Harcerze nasi zaczęli żeglować po rzekach i jeziorach bodaj już w 1913 roku, jeszcze we Lwowie, a po morzu (Japońskim), w ramach Hufca Syberyjskiego – w roku 1919. I nieprzerwanie żeglują do dzisiaj. Wreszcie to harcerskie stopnie wodniackie stanowiły pierwowzór żeglarskich patentów, a polscy harcerze posiadają jedyny na świecie skautowy żaglowiec szkolny. Jest nim flagowy jacht ZHP s/y „Zawisza Czarny”. Dodajmy, że nieoficjalnym jachtem flagowym ZHR jest wrocławska „Złota Kaczka”.



Pod żaglami Zawiszy, 2011 r.

Tyle o wodniackiej specyfice i odrębnościach. Mam nadzieję, że powyższe

rozważania nie przypominają za bardzo nieudolnych prób tłumaczenia pewnego poematu z języka staro-dolno-nordyjskiego, które podejmował Fred Trumper, bohater „Metody wodnej”. Oby.

Życie wiecznie.

Marabut.

zdjęcie z nagłówka ze zbiorów Tomasza Sikorskiego: Gen. Zaruski z wodniakami na Jamboree w Vogelegang, 1937 r.

Tomasz Maracewicz

Harc mistrz, kapitan jachtowy, z zawodu oficer marynarki handlowej, a także biolog i broker ubezpieczeniowy. Był harcerzem, a od 1978 roku przez kolejne osiem lat drużynowym Pierwszej Wodnej Drużyny Harcerzy im. Tadeusza Kościuszki w Gdańsku. Równocześnie w latach 80. XX wieku był wiceprzewodniczącym gdańskiego KIHAM i działaczem Ruchu Harcerskiego. Potem został jednym z założycieli Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej, pierwszym Naczelnikiem Harcerzy oraz – kilkakrotnie – członkiem władz naczelnych ZHR. W międzyczasie został ojcem aż trzech wspaniałych synów, Ignacego, Kajetana i Wiktora, którzy również przeszli przez harcerstwo. Był współtwórcą pisma instruktorskiego „Pobudka”, kursu podharcemistrzowskiego „Jakobstaf” oraz powołanej później fundacji noszącej tę samą nazwę. W latach 2011–2014 pełnił funkcję prezesa Fundacji Harcerstwa Centrum Wychowania Morskiego ZHP w Gdyni. Autor książek i podręczników o tematyce zarówno harcerskiej, jak i żeglarskiej. Obecnie instruktor Mazowieckiej Chorągwi Harcerzy ZHR w rezerwie.